

Dwa słowa o habilitacji

Dyskusja na temat habilitacji na łamach PAUzy Akademickiej skłoniła mnie do zabrania głosu w kwestii słuszności, bądź nie, istnienia owej habilitacji. Myślę bowiem, że nie ma to większego znaczenia dla jakości nauki – a o to właśnie chodzi w ogólnym rozrachunku. Problem leży zupełnie gdzie indziej. A mianowicie, w braku merytorycznych podstaw rad wydziałów do oceniania kandydatów. To zresztą również problem doktoratów.

We Francji habilitacja istnieje od dawien dawna. Przez bardzo długi czas nie miała większego znaczenia, poza wyznaczaniem progu do pokonania przy dochodzeniu do profesury – podobnie jak dziś w Polsce. Mniej więcej 20 lat temu postanowiono włączyć ją do sytemu pozauniwersyteckiego. Oznajmiono wówczas, że awans z etatu Chargé de Recherche (adiunkt) na Directeur de Recherche (profesor) w instytutach naukowych, takich jak CNRS, INSERM czy INRA (i wiele innych) powinien być następstwem (podkreślam słowo „powinien” – bo nie musi) posiadania owej habilitacji. To skłoniło bardzo

wielu naukowców spoza uniwersytetów do robienia habilitacji (Habilitation de Diriger la Recherche – HDR). W tym czasie starałem się o taki awans i wydawało mi się, że żadnej habilitacji do tego nie potrzebuję. W rozmowie z Julesem Hoffmanem, który kilka lat później otrzymał Nagrodę Nobla, dowiedziałem się, że bez habilitacji nie mam czego szukać w komisji CNRS nadającej tytuły Directeur de Recherche – Jules był wówczas jej przewodniczącym. Nie zadawałem więc wielu pytań tylko w try miga zrobiłem habilitację. Napisanie rozprawy nie zajęło mi wiele czasu, bo już miałem gotowe dossier na stanowisko Directeur de Recherche. Sama obrona okazała się przyjemnością intelektualną. We Francji, w przeciwieństwie do Polski, publiczna obrona habilitacji (podobnie jak obrona doktoratu) odbywa się przed komisją złożoną z 5–6 specjalistów z dziedziny kandydata, a nie przed całą radą wydziału, która w 90 procentach nie jest w stanie wejść w merytoryczną dyskusję z kandydatem, a w 100 procentach nie jest w stanie się do tego przyznać.

Tu jest pies pogrzebany.

JACEK Z. KUBIAK
CRNS
Université Rennes

Dekomunizatorzy

W numerze 405 „PAUzy Akademickiej” profesor Roman Duda, wyraźnie poruszony, zaprotestował przeciwko wpisaniu przez IPN Stanisława Kulczyńskiego, sławnego rektora Uniwersytetów Lwowskiego i Wrocławskiego, na listę dekomunizacyjną, czyli listę – w intencji autorów – domniemyanych uczestników bliżej nieokreślonych przestępstw reżimu komunistycznego (co on właściwie złego zrobił?). Zasadność oburzenia profesora Dudy jest bezdyskusyjna, pytanie tylko, czy wystarczy, gdy będziemy równie jak on oburzeni. To nie jest odosobniony, lecz najbardziej drastyczny przypadek pomówienia człowieka prawego i zasłużonego. Jaka powinna być adekwatna reakcja na działanie ekipy IPN, instytucji formalnie naukowej i mającej uprawnienia sądu (lecz od jej decyzji odwołać się nie można, czyli policjant, prokurator i sędzia w jednym, tylko obrońcy i kata brakuje)? Co sądzić o wydawaniu wyroków na podstawie niefrasobliwie – mówiąc najogólniej – dobranych dokumentów, równie niefrasobliwie interpretowanych? Jak ocenić ludzi skazujących za samo kontaktowanie się z komunistami? (Rotmistrz Pilecki też się z nimi kontaktował – przecież samobójstwa nie popełnił). Wskazówką jest wydarzenie z wczesnych lat dziewięćdziesiątych, którego bohaterem był pewien stołeczny aktor. Wydarzenie to było głośne

w kręgach teatralnych i jego bohater jeszcze długo później zaklinał się na wszystkie świętości, że było inaczej niż to opowiadano. Ta kwestia jest bez znaczenia, bowiem nie o tego konkretnego człowieka tu chodzi. Istotne jest, że anegdota ta, prawdziwa czy nie, pokazuje adekwatną reakcję na niewłaściwe postępowanie. Otóż aktor ów chałturzył seryjnie w reklamach telewizyjnych, które wtedy były dużo gorsze i prymitywniejsze niż dzisiaj. Po kilku latach takiego życia zapragnął zagrać w poważnej sztuce w teatrze. Na jednej z prób przedstawienia, w którym miał wystąpić, pojawił się na widowni Tadeusz Łomnicki, uważany za jednego z najwybitniejszych aktorów ostatniego półwiecza, i uważnie przyglądał się grze tego aktora. W przerwie przywołał go skinieniem ręki do siebie i scenicznym szeptem, tak by było go słychać w całej sali, zapytał, „Kto ci żłobie dał dyplom?” Jak przystało na wielkiego artystę, Łomnicki użył określenia adekwatnego do oceny jakości gry tego aktora, określenia, którego nie ośmieliłbym się zacytować tutaj i które zastąpiłem nader łagodnym „żłobem”.

Czy jakiś historyk uniwersytecki powie głośno, że wstyd mu za niektórych spośród wypromowanych przez niego ludzi? Wstyd za wystawienie dyplomu ewidentnym nieukom.

LESZEK M. SOKOŁOWSKI
Uniwersytet Jagielloński
Obserwatorium Astronomiczne